

Aniela Kowalska

Dwie powieści autobiograficzne Conrada

Prace Polonistyczne Studies in Polish Literature 37, 5-31

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ANIELA KOWALSKA

DWIE POWIEŚCI AUTOBIOGRAFICZNE CONRADA

Tajemny wspólnik

Nie wolno nam zapominać, że skomplikowana powieść staje się inna przy każdym następnym czytaniu [...]

(A. Guerard)

1

W swej znamionującej przełom twórczy *Przedmowie do Murzyna z załogi Narcyza* Conrad akcentował szczególnie mocno, że artysta: „Przemawia do naszej zdolności doświadczenia zachwytu i podziwu, do wycucia tajemnicy otaczającej nasze życie [...] – i do s u b t e l n e g o, a l e n i e z w y c i ę ż o n e g o p r e ś w i a d c z e n i a o s o l i d a r n o ś c i, k t ó r a z e s p a ł a w j e d n o s a m o t n o ś ć n i e p r z e l i c z o n y c h s e r c l u d z k i c h, d o w s p ó l n o t y w m a r z e n i a c h, r a d o ś c i a c h, t r o s k a c h, d ą ż e n i a c h, z ł u d z e n i a c h, n a d z i e i, l ę k u, k t ó r a w i ą ż e c z ł o w i e k a z c z ł o w i e k i e m [...]”¹ (podkr. A. K.).

Tę właśnie myśl rozwinął i udokumentował Conrad w swoich dwóch, najbardziej osobistych, „autobiograficznych”, najkrótszych spośród dojrzałych artystycznie utworach: najpierw w *Tajemnym wspólniku*, później – w szerszym społecznie kontekście – w *Smudze cienia*. W tym rozumieniu są one jakąś szlachetną kontynuacją linii rozpoczętej w *Murzynie z załogi Narcyza*. Fabuła obu opowiadań jest niewątpliwie autobiograficzna. Oba oparte są na kanwie niezapomnianych dni wtajemniczeń w odpowiedzialną rolę dowódcy statku, dni „szczególnej

¹ Wszystkie cytaty z *Tajemnego wspólnika*, *Smugi cienia* i innych utworów J. Conrada według ostatniego wydania: *Dzieła Josepha Conrada*, pod redakcją Z. Najdera. Warszawa. 1973 – 4.

intensywności istnienia”, a zarazem szczególnie intensywnego lęku, czy się podoła wysokości zadania, czy mu się sprostą. W tego rodzaju wtajemniczeniach – gdy się spoglądało wstecz na chwile samotnych prób samopotwierdzenia się, chwile niewolne od zwątpień „na granicy obłąkania” – wizja wiążącej człowieka z człowiekiem wspólnoty, bez słów prawie, była łaską wyobraźni.

Conrad napisał *Tajemnego współnika*, co podkreślił jego biograf, J. Baines, w wyjątkowo krótkim czasie, pod koniec 1909 r., bezpośrednio po ukazaniu się w odcinkach na łamach „English Review” *Wspomnień*, gdzie znalazły się słowa serdecznej pamięci o zmarłym przyjacielu, Stephenie Crane: „Czuło się, że jak jeden z ludzi w jego *Szalupie*, należy do tych, którym los rzadko pozwala na bezpieczne przybicie do brzegu po znoejnej i uciążliwej przeprawie”. Teraz, w swym opowiadaniu przywoływał na krótką chwilę wytchnienia znużonego pływaka, który „miał wygląd człowieka skupionego i myślącego, jak ktoś głęboko zadumany w samotności” (s. 114).

Dla tego, jednego ze swych najkrótszych opowiadań, które krytyka światowa uznała zgodnie za jedno z arcydzieł Conrada, pisarz zaproponował wydawcy, Pinkerowi, do wyboru tytuły: „Drugie ja”, „Tajemne ja”, „Inne ja” (“The Second Self”, “The Secret Self”, “The Other Self”); sugerował także tytuł: “The Secret Sharer”, ale wyrażał wątpliwości, czy nie będzie to brzmiało zbyt enigmatycznie².

Tajemnym współnikiem – tak pożądanym w rzeczywistej, trudnej próbie sił – był dla narratora człowiek, który wypłynął ku niemu z głębi morza, jakby po to tylko, by wyrwać go z dojmującego poczucia obcości i samotności.

2

Już na początku narrator stwierdził jako rzecz oczywistą: „Nawiązało się jakieś tajemnicze porozumienie między nami dwoma – w obliczu cichego i ciemnego morza podzwrotnikowego” (s. 113).

Nie omieszkał podkreślić, że w osobie tego młodego człowieka, najwyżej dwudziestopięcioletniego, o jasnych oczach, o głosie spokoj-

² J. B a i n e s, *Joseph Conrad. A Critical Biography*, London 1960, s. 356.

nym i zdecydowanym, którego opanowanie w jakiś sposób udzielało się jemu samemu, „było coś takiego, co uniemożliwiało wszelkie komentarze: rodzaj wzruszenia, jakaś właściwość, której nie potrafię nazwać” (s. 123). Jego osobowość od pierwszego wejrzenia budziła zaufanie, a ten poryw spontanicznej ufności był wzajemny. Było to spotkanie dwóch samotności, spragnionych przyjaznego kontaktu, zaskoczonych nagle odkrytą możliwością przyjaznej więzi z drugim człowiekiem. Świadczyły o tym słowa „pływaka”: „[...] odezwał się pan do mnie tak spokojnie – jakby się mnie spodziewał – że jeszcze chwilę zostałem. Piekielnie byłem wtedy samotny [...] chciałem z kimś porozmawiać przed dalszą drogą” (s. 125).

Jednakowy wzrost, postawa, identyczny nocny strój – to tylko zewnętrzne pozory tożsamości, które zdawały się ich urzekać. Istotne było dostrzeżenie w drugim własnego jakby odbicia, samopotwierdzenia się poprzez odnalezienie w tym drugim pożądanego zrównoważenia, spokoju i krzepiącej życzliwości. Z nieodpartym, serdecznym wzruszeniem obserwował niebawem narrator swojego sobowtóra zapadłego w sen w kapitańskiej koi. Z podobnym uczuciem na pół radosnego zdziwienia powtarzał słowa: „tajemny współnik mojego życia”, „moje utajone ja” (s. 128). I bał się tylko, żeby jakiś przypadek nie osłabił, nie naraził na ryzyko konfrontacji jego „poczucia tożsamości” z tamtym, który mu był tak bliski: „z którym dzieliłem własną kabinę i myśli, jakby był moim drugim ja...” (s. 158). To nieoczekiwane podwojenie, nagły tajemny sojusz, zrozumienie się i aprobowanie niemal bez słów, zrodziło świadomość szczególnej intensywności istnienia, jaką darzy tylko wyjątkowe przeżycie.

To oczywiste, że wobec tajności tego spotkania musiała zaistnieć na statku sytuacja dwuznaczna, która wywołała w narratorze uczucie rozdarcia. Przez cały czas dorywczych, ukradkowych kontaktów ze swym sobowtorem czuł się on wytracony z równowagi przez „podwójne działanie umysłu, które doprowadziło [...] prawie do obłąkania”. Była to ciągła troska o własne utajone „ja”, którego obraz nie opuszczał na chwilę jego pamięci: „Stale pilnowałem siebie, mojego utajonego ja [...] czułem, że jest równie zależne od moich czynów jak ja sam. Podobne to było do obłąkania, a nawet gorsze, bo świadome” (s. 128). Narrator nie taił, że wysiłkiem woli zmuszał się, by powracać z kabiny do bieżących spraw. Z tej fascynacji utożsamiania się z ukrytym sobowtorem płynęło

podniecenie nerwowe, powodujące, że nie mógł zapanować nad głosem, potrafił jednak stwierdzić ściśle i rzeczowo: „Mam wrażenie, że w niepostrzeżony sposób zbliżyłem się do stanu obłądu na tyle, na ile to jest możliwe bez rzeczywiście przekroczenia granicy normalności” (s. 145; podkr. A. K.). Warto pamiętać, że w *Smudze cienia* — gdzie nie było sobowtóra — narrator nie wahał przyznać się do gorszych stanów lękowych. Tutaj nie słabło ani na chwilę poczucie krzepiącej wspólnoty, darzącej łaską wyzwolenia z samotności; świadczyły o tym słowa protagonisty: „Przebywając z nim razem czułem się jednak mniej rozdarty wewnętrznie” (s. 138). Tę wartość bezsporną przyjaznych uczuć mając na myśli, stwierdzał też pełen żalu: „— wszystko sprzyścięło się przeciwko naszemu tajemnemu sojuszwowi, nawet czas, — bo nie mogło to trwać wiecznie”. Uczucie własnego rozkojarzenia wypierał podziw dla ukrytego sobowtóra: „[...] wyglądał zawsze całkowicie opanowany, bardziej niż spokojny — prawie niezniszczalny” (s. 141). Doskonale można sobie było wyobrazić sposób jego myślenia, ową twardość charakteru, „która tak wspaniale ratowała go w trudnościach”.

Dzięki tej jego postawie narrator pojął, iż fałszywym sentymentalizmem była chwila wahania, czy pozwolić mu odpłynąć ze statku. W istocie, on sam zdecydował o konieczności odejścia i rozstania się na skutek wewnętrznego nakazu zdążania do swoich przeznaczeń, ze świadomością, że nigdy nie będzie już mógł powrócić do życia. Przed rozstaniem określił jako największy zysk tych kilku dni wspólnoty i niewielu wymienionych słów — dar nie podważonej żadnym wątpliwnością ufności: „To wielkie szczęście mieć kogoś, kto rozumie” (s. 146). Dodał jeszcze „tym samym szeptem, jak gdybyśmy mieli sobie zawsze do powiedzenia rzeczy, o których świat nie powinien wiedzieć: — To wprost cudowne”. Już przedtem narrator nie bez wzruszenia odnotował moment, gdy ich oczy spotkały się: „oczy jedynych obcych na pokładzie” i gdy jego sobowtór „zrobił jakiś ruch — trochę nieokreślony — lekko tajemniczy, a przy tym uśmiechnął się jakby z żalem” (s. 139). Jedyny to uśmiech, objawiający się tak łagodnie a zapowiadający nieuniknione rozstanie.

Powinien nas zdumiewać — a nie zdumiewa — fakt, że obcy, nie przewidywany, nie przeczuwany człowiek i, jak się okazało, zbieg ze swego statku, poszukiwany przez zwierzchnika, marynarz, młodszy od

narratora wiekiem i niższy stażem, zjednał sobie od pierwszej chwili życzliwość i zaufanie nieznanego kapitana; co więcej, po jego szczerej, spontanicznej relacji o dokonanym w pasji przestępstwie, narrator nie zawahał się oświadczyć: „Dobrze też wiedziałem, że mój sobowtór nie jest wcale morderczym zbójem” (s. 116). Była to wiedza o kimś skupionym i myślącym, wiedza niezawodna, intuicyjna o człowieku, który swym pojawieniem się wyzwalał od dręczącego uczucia psychicznej izolacji.

W tym spontanicznym zaakceptowaniu się wzajemnym dwojga, obcych sobie dotąd ludzi, było niewątpliwie coś z czarodziejstwa snu, rodzaj wzruszenia, z jakim rozpoznajemy w drugiej indywidualności kogoś nam szczególnie bliskiego, coś z Platońskiego rozpoznania drugiej połowy własnej duszy.

3

Niebywale śmiałym pomysłem Conrada było oparcie osobistego tematu opowiadania na bazie obiegowego, skandalicznego wątku, który „w gruncie rzeczy był również wspólną własnością całej floty okrętów handlowych, krążących między Indiami, Chinami i Australią [...]”, co podkreślał w nocie *Od autora*, dołączonej do tomu *Między łądem a morzem*, w którym środkową nowelą był *Tajemny współnik*.

Zainterесowanemu tym tematem niejakiemu Saundersowi wyjaśniał Conrad w liście z dnia 14 czerwca 1917 r. (opublikowanym dopiero przez Normana Sherry w jego książce *Wschodni świat Conrada*): „[...] postać pływaka podsunęła mi historia młodego człowieka, który był drugim oficerem na kliprze »Cutty Sark« [...] i któremu z d a r z y ł o s i ę n i e s z c z ę ś c i e zabić człowieka na pokładzie. Ale jego kapitan był na tyle przyzwoity, że pozwolił mu puścić się wplaw do brzegów Jawy [...]” (podkr. A K.).

Jak z tego objaśnienia wynika, sam fakt był dalekim pretekstem do utworu, w którym postać Legatta, bohatera fatalnych zdarzeń, była konieczna głównie z tej przyczyny, aby usprawiedliwić nieoczekiwane pojawienie się pływaka koło trapu zacumowanego statku. I chyba dlatego Conrad mógł z czystym sumieniem zaliczyć *Tajemnego współnika* oraz *Smugę cienia* do dwóch utworów „spokojnych”, w przeciwieństwie do „burzliwych” — *Narcyza* i *Tajfunu*. Dodał jeszcze, że te dwa

utwory spokojne, „pomimo formy autobiograficznej, nie są oparte na wspomnieniach osobistych. Treść ich wiąże się z czymś rozleglejszym [...]”. Bo czymś rozleglejszym była idea ukazania narratora w związku z drugim, konkretnym człowiekiem, tajemnym sojusznikiem.

Fakt, że jako kanwa do tego opowiadania posłużyła rzeczywista, obrośła potem skandalem historia, utrudnił a nawet uniemożliwił – zgodnie zresztą, jak można przypuszczać, z intencją autora, który nie lubił odsłaniać swych kart – rozszyfrowanie istotnego impulsu twórczego, czy bodaj snucie domysłów w tym kierunku. Przeszłość przestępcza Legatta, mimo, że narrator starał się ją usprawiedliwić, spowodowała nieuniknione w tych warunkach zmańczenie obrazu. Już współcześnie z ukazaniem się tej zagadkowej dla czytelników noweli Conrad, dziękując Johnowi Galsworthy za trafne „ujrzenie pływaka”, wyznawał, że w jednej ze wzmianek na ten temat, jaka mu wpadła w ręce, nie zawahano się nazwać Legatta „zbrodniczym łotrem lub czymś w tym rodzaju”. I pytał ze wzgardą: „Kim są te typy, które pisują w prasie? Skąd się biorą?”

Kreując Legatta jako swego sobowtóra, Conrad zdawał sobie sprawę z trudności zadania. Ale tym większą pokusą było dokonanie tej sztuki, aby – podobnie jak dla narratora – i dla wnikliwego czytelnika stało się jasne, że był godny szacunku „ten włóczęga o czole czystym, bez znamienia klątwy [...] wolny człowiek, dumny pływak, dążący ku nowemu przeznaczeniu”. W *Tajemnym współniku* chciał przy tym Conrad unocznic tę prawdę, że z istotnym i ważkim problemem moralnym spotykamy się dopiero w momencie, gdy kończy się kodeks karny. Jest to problem romantyczny o tyle, że postuluje gotowość i odwagę ponoszenia indywidualnej odpowiedzialności za czyn, bez względu na obiegowe konwencje. Postuluje zarazem zdolność do samookreślenia się, do „wewnętrznej przestronności”.

Legatt jest reprezentantem świadomej siebie siły woli. Wie, kim jest naprawdę, i że popełniony przezeń w pasji czyn nie może go określać bez reszty. Świadomy winy zabójstwa, Legatt świadom był i tego, że to on, pierwszy oficer, gdy „morze oszalało” a dowódca statku przerażony „dosłownie skamlał i nic więcej”, zdołał stanowczą, energiczną postawą zmusić w tych straszliwych warunkach marynarzy do działania i właściwym rozkazem postawienia grot-masztu – uratował statek. Dla narratora po tym wytłumaczeniu (choć intuicyjnie darzył Legatta od

początku pełnym zaufaniem): wszystko było całkiem jasne. Ten sam stan końcowego napięcia, który dał dwudziestu czterem ludziom szansę ocalenia, zmiażdżył jakby siłą odrzutu jedno nędzne i buntownicze życie ludzkie” (s. 139).

Konsekwentny w swym upartym i niezachwianym sposobie myślenia Legatt, nie bez aprobaty autora, buntuje się i odrzuca krótkowzroczne rygory kodeksu karnego: „Cóż oni mogą wiedzieć, czy jestem winny, czy nie i jaka jest moja wina? To moja sprawa”. Swojej winy jednak nie umniejsza. Skazuje się na wieczną tułaczkę jako na zapłatę za niechciane przestępstwo, za popełnione, mimo że usprawiedliwione po części sytuacją, zabójstwo w afekcie. Ale odrzuca samą myśl poddania się pod sąd jakiegoś starca w peruce czy szacownych kupców ze statków handlowych w roli sądowych asesorów. Zdaje się nie żywić wątpliwości, że nie tyle za czyny jesteśmy odpowiedzialni, co za to, jacy jesteśmy.

W ten sposób wyłuskał Conrad wagę problemu moralnego, problemu sumienia spod warstwy uroszczeń i nakazów kodeksu karnego. Tylko kodeks karny, fakty i dowody prawne są miarodajne dla ograniczonego i bezdusznego kapitana Archbolda. Narrator nie taił, że nie miał złudzeń co do rodzaju osobowości zwierzchnika Legatta: „Osądziłem, że główną jego cechą jest tępa zaciętość” – orzekł i obdarzył go parą „rozmażanych, nierozumnych oczu”. Toteż bez trudu odparł jego natrętne wścibstwo nader wyszukaną uprzejmością, nie mogąc z przyczyn psychologicznych skłamać, że nie ma na jego statku człowieka, z którym „poczucie tożsamości” było w nim tak bardzo żywe, i który stał się już tajemnym sojusznikiem w jego samotnej roli dowódcy.

4

Pomysł napisania *Tajemnego współnika* związał się z decyzją uzupełnienia pominiętego we *Wspomnieniach* opisu „próby” najważniejszej w życiu marynarskim Conrada. Po raz pierwszy podjął tutaj pisarz – w genialnie pomyślanej, metaforycznej formie – problem jedyne w swojej karierze dowództwa. Wcześniejsza nowela *Falk*, w której narrator jest kapitanem, poprzedzała na marginalnych jedynie wzmiankach. Ciężył bowiem nad tym tematem kompleks rezygnacji z tego stanowiska – na własne żądanie. Musiał być ten kompleks dość silny, skoro na kartach *Wspomnień* znalazł się tylko, odtworzony sugestywnie,

przebieg egzaminu na kapitana, ale przemilczany został fakt uzyskania przez Conrada już w wieku lat trzydziestu komendy nad żaglowcem „Otago” (czekającym na jego przybycie — z obcymi dlań oficerami i załogą — w Bangkoku).

Naczelną, absorbującą narratora *Tajemnego współnika* sprawą — przed pojawieniem się Legatta — jest sprawa wtajemniczenia, sprawdzenia się jako dowódcy: „jak dalece ja sam pozostanę wierny owej idealnej wizji o sobowości, wizji, którą wytwarza sobie potajemnie każdy człowiek” (s. 108; podkr. A. K.). Dowiadujemy się, że narrator objął komendę nad statkiem zaledwie tydzień temu, że bardzo niewiele wiedział o swych oficerach i o swej załodze. Był obcy wśród tych ludzi, współpracujących razem od półtora roku. Co więcej, odczuwał też swoją obcość wobec statku: „a jeśli mam być szczerzy — wyznawał — czułem się niejako obcy wobec samego siebie. Będąc najmłodszym z załogi (z wajątkiem drugiego oficera) i nie wypróbowanym na całkowicie odpowiedzialnym stanowisku, chętnie przyjmowałem kompetencję innych za rzecz oczywistą” (s. 107; podkr. A. K.). To poczucie obcości było tak silne i dojmujące, że nie dawało mu zasnąć, stąd gotowość pełnienia wachty kotwicznej przez pięć godzin nocnych. Pojawienie się sobowtóra sygnalizuje początek przełomu. Paraliżował go brak wiary w siebie, odzyskał ją teraz, wyzbywszy się świadomości sztucznej izolacji i osamotnienia (mimo nerwowej troski o bezpieczeństwo swego tajemnego sojusznika). Obecność tego najbardziej niezależnego z ludzi, jego spokój i opanowanie, które tak podziwiał, zaczęły mu się udzielać już od pierwszej chwili, by w końcu natchnąć go odwagą podjęcia ryzykanckiego kroku — podejścia pod ląd — jak przedtem natchnęły go determinacją i zuchwalstwem w stawieniu czoła podejrzliwej inwigilacji Archbollda. Spokojne wymanewrowanie statku z groźnej sytuacji umocniło jego pozycję dowódcy. Poczucie wspólnoty z sobowtorem pozwoliło przezwyciężyć bezradność wobec obcego dotąd statku.

I teraz dopiero padły triumfujące słowa protagonisty: „A ja czułem, że istniejemy tylko on (statek) i ja. Nic! Nie ma nikogo na całym świecie (tj. nikogo na statku, wśród oficerów czy załogi) kto zdołałby teraz stanąć między nami i rzucić cień na nasze milczące zrozumienie i niemą sympatię, na doskonałą więź łączącą marynarza z jego pierwszą komendą”.

Poczucie wspólnoty z drugą pokrewną osobowością okazało się skutecznym środkiem zaradczym na brak zaufania do siebie. Tak więc w *Tajemnym wspólniku* znalazło wyraz głębokie przeświadczenie Conrada, że – jak to później sformułuje Gombrowicz – "[...] nie w sumieniu jednostki tkwi sprężyna działania, lecz w stosunku, który wytwarza się między nim a innymi ludźmi".

Nie podzielał tego przekonania A. Guerard, który w swym, znakomitym zresztą studium, *Conrad, The Novelist* (1958 r.) odczytał to opowiadanie, biorąc za punkt wyjścia tezę psychologa Junga: „integracja osobowości nie jest możliwa, zanim nie pozna się podświadomości, nie prowadzi z nią sporów i w pewnym sensie nie uwolni się od niej” – a więc jako archetypiczną nocną podróż narratora, ujarzmiającego w końcu te ujemne cechy swej osobowości, które „przeszkadzają w żeglowaniu”. Wedle tej koncepcji Legatt miałby być udramatyzowanym odbiciem ukrytego, „gorszego” ja narratora, ciemną, odrzucaną stroną natury ludzkiej, z której trzeba się wyzwolić. W konsekwencji spełniałby w tym opowiadaniu tę samą funkcję, jaką zwolennicy teorii Junga przypisują Kurtzowi w *Jądrze ciemności*.

„Zdaje się, że »czarna noc duszy« staje się jeszcze większą plagą niż ongiś »Czarna dama« z *Sonetów* Szekspira” – skomentował Ian Watt ironicznie tę koncepcję, sprowadzającą *Tajemnego wspólnika* do ciemnego symbolicznego paradygmatu (ale jej ostatecznie nie zanegował)³. Angielski biograf Conrada, J. Baines zakwestionował natomiast i odrzucił interpretację *Tajemnego wspólnika* jako historii z kluczem, wedle której Legatt reprezentuje niższe ja kapitana, co podważałoby sens ostatniego zdania powieści.

Staranna obserwacja wzajemnego od początku, spontanicznego zaufania i zacieśniającej się przyjaznej więzi narratora i jego sobowtóra, wskazuje, że na innej drodze dostrzegł Conrad możliwość pozbycia się zwątpienia we własne siły protagonisty i osiągnięcia szczytu swych możliwości.



³ Ian Watt, *Kapitał i myśl w „Smudze cienia” Josepha Conrada*, tłum. E. Krasnowolka, [w:] *Conrad w oczach krytyki światowej*. Wyboru dokonał Z. Najder, Warszawa 1975.

Wydaje mi się, że gdyby szukać adekwatnej współczesnej formuły dla oddania przewodniej myśli tego małego arcydzieła Conrada, jakim jest *Tajemny współnik*, można by ją nieoczekiwanie odnaleźć w pierwszym tomie *Dziennika Gombrowicza* z 1953 r., we fragmencie, sugerującym odczucie kosmicznego znaczenia, jakie dla człowieka może mieć drugi człowiek. Autor *Dziennika* zakłada wprawdzie jako punkt wyjściowy stan niewiedzy o istnieniu drugiego człowieka, ale siła przeżycia jest ta sama; oto ta sugestia: „[...] ukazuje się w polu mego widzenia istota analogiczna, a jednak nie będąca mną – ta sama zasada wcielona w obce ciało – ktoś identyczny a jednak obcy – i ja doznaję jednocześnie cudownego uzupełnienia i bolesnego rozdwojenia. Ale nad wszystkim góruje jedno objawienie: stałem się nieograniczony, nieprzewidywany dla siebie samego, pomnożony we wszystkich możliwościach swoich tą obcą, świeżą a jednak identyczną siłą, która zbliża się do mnie tak, jak gdybym to ja sam do siebie przybliżał się z zewnątrz”.

Jest to właśnie conradowski człowiek spotęgowany człowiekiem. W *Tajemnym współniku* zdołał pisarz objawić prawdę o znaczeniu, jakie dla człowieka może mieć drugi człowiek, który na skutek bliskiego pokrewieństwa duchowego i daru ufności staje się jego cudownym uzupełnieniem, pomnożeniem wszystkich jego możliwości. Objawienie w metaforycznym kształcie łaski porozumienia z drugim człowiekiem, to było zarazem dla wnikliwych badaczy odsłonięcie różnicy, jaka dzieliła Conrada od większości pisarzy Zachodu, „żyjących wizją człowieka odosobnionego i absolutnych wartości”. Już Conradowi (choć uogólni to i odniesie do literatów wschodnich dopiero Gombrowicz) szczególnie bliska była ta formuła: „człowiek plus człowiek, człowiek pomnożony człowiekiem”.

W twórczości Conrada „zrodziło się” już to, zapowiadane dopiero przez Gombrowicza, „trzecie widzenie człowieka: „człowiek w związku z drugim, konkretnym człowiekiem, ja w związku z tobą i z nim [...]” (I, 32). I bodaj pierwszy Conrad, na wiele lat przed Gombrowiczem, dojrzał w tym utajoną nową rzeczywistość. To on, inspirowany podobną postawą genialnego impresjonisty i „nieskazitelnego humanisty”, Stephen Crane’a, dojrzał i przekazał w artystycznym widzeniu „drugiego człowieka podniesionego do kategorii potęgi stwarzającej”.

Warto przypomnieć, że Gombrowicz to trzecie widzenie człowieka zinterpretował wnikliwie w ten sposób, że „nam, synom Wschodu,

zaczyna topnieć w rękach problem indywidualnego sumienia [...] a w głosach Camusa, Sartre'a, Gide'a, Valery'ego, Eliota, Huxleya wyczuwamy niestrawne luksusy, pozostałości z czasów, które dla nas się skończyły" (I, 32).

Tajemny wspólnik, prawdziwie prekursorski, śmiały w zamyśle, kunsztowny w strukturze utworu i zawarta w nim treść wizyjna, z pogranicza snu, jest zarazem symbolem, wyrazem najgłębszych przeświadczeń pisarza o głębokiej wartości przeżycia jaką jest wtargnięcie drugiego człowieka w naszą jaźń zamkniętą. Zbawienie – zdaje się mówić Conrad – leży nie tylko w naszej wewnętrznej odporności wobec zewnętrznych nacisków i uroszczeń opinii, wobec własnych lęków i niepewności, ale w łasce, w możliwości zyskania aprobaty i zrozumienia w duszy, zdolnej nam zaufać i nadać właściwy, sprawiedliwy ludzki wymiar najzawilszym naszym problemom.

W *Tajemnym wspólniku* możemy obserwować nie bez wzruszenia spotkanie się dwóch pokrewnych indywidualności – w momencie dla nich obu kryzysowym – w okolicznościach tak nieprawdopodobnych i tak napiętych jakby tego mogła wymagać wysokiej klasy powieść detektywistyczna. Ale i ona przecież bywa niekiedy „wyniesieniem prywatnej konkretności do wyżyn wszech [...] wymiaru kosmicznego”. Jeśli jest prawdziwą sztuką, tak jak ją pojmowali i starali się doścignąć – Crane, Conrad i Gombrowicz.

Smuga cienia – Wyznanie

I

W krytyce anglosaskiej przyjęto uważać *Smugę cienia* za ostatnie arcydzieło Conrada. Poświęcono temu niewielkiemu utworowi wiele rozpraw i analiz krytycznych. W jednej z nich Ian Watt zauważył, że autobiograficzna opowieść Conrada ma nieoczekiwaną głębię, „nie można jej przebyć szybko ani łatwo”⁴ i że prowokuje, zachęca ciągle do wystawiania się na nowe, płynące z niej bodźce.

⁴ *Ibidem*, s. 629.

Sam Conrad pisał o *Smudze cienia* (w liście do Sidneya Colvina, 18 III 1917 r.) jako o kawalku prozy o charakterze autobiograficznym: „Jest nim tak bardzo, że wzdramam się nazwać go opowieścią [...], na karcie tytułowej nazywam go wyznaniem. Z pewnego bowiem punktu widzenia tym właśnie jest – szczery jak każda spowiedź – w stopniu może doskonalszym, zważywszy, że celem nie jest samoobnażenie. Moim celem było ukazanie innych ludzi i danej sytuacji przez pryzmat własnych odczuć”.

O tym, że pisarz przyjmował jako rzecz oczywistą korekturę przeżyć inspiracją fantazji artystycznej, świadczy inny list z tegoż roku, z 14 VI 1917 r. (opublikowany dopiero niedawno przez Normana Sherry w jego książce *Wschodni świat Conrada*), skierowany do A. T. Saundersa: „Panu, tak doświadczonemu pisarzowi i wybitnemu publicyście nie muszę zwracać uwagi na to, że materiał zaczerpnięty ze zdarzeń własnego życia m u s i a l e m d l a c e l ó w a r t y s t y c z n y c h o d p o w i e d n i o p r z e t w o r z y ć, u p o r z ą d k o w a ć, p o w i ą z a ć i u b a r w i ć. Nie sądzę, aby to było coś zdrożnego. Ostatecznie jestem powieściopisarzem i nie rzeczywiste wydarzenia, ale sposób, w jaki je przedstawiam, stanowi o wartości literackiej, a nawet moralnej mego dzieła”⁵ (podkr. A. K.).

Opowieść Conrada o jego pierwszym dowództwie na statku Otago, w drodze z Bangkoku do Singapuru w 1888r., składa się z dwóch części: pierwsza wprowadza w nastrój przełomowej dla bohatera chwili „na skraju cienia” i szczegółowo relacjonuje okoliczności, w jakich dotychczasowy pierwszy oficer otrzymał nieoczekiwanie komendę na żaglowcu. Niektórzy krytycy wyrzekają na dłuższą tę dość obszerną część wstępnej, ubolewając wraz z Albertem Guerard, że „drażliwość narratora staje się w końcu drażniącą dla czytelnika”.

Po omówieniu właściwej opowieści o wtajemniczeniu w rolę dowódcy, powrócę w dalszych rozważaniach do jej preliminarium, aby wykazać, już niejako z retrospekcji, że drażliwość narratora była w pełni uzasadniona i że w aspekcie autobiograficznym rzuca ona ciekawe światło na osobiste doświadczenia marynarskie Conrada, pozwalając

⁵ N. S h e r r y, *Wschodni świat Conrada*. Przel. J. Milewski i J. Szarski. Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1972, s. 215 – 216. Por. G. J e a n - A u b r y, *Life and Letters*, II, s. 81.

domyślać, że to wczesne dowództwo było darem szczególnym, za który trzeba było zapłacić najwyższym wysiłkiem woli i utratą złudzeń.

2

Smuga cienia jest arcydziełem, w którym wagę ma każde słowo. Początek koszmarnego, jak się okaże, dowództwa rozpoczyna się od obrazu orientalnej stolicy, brudnego wschodniego miasta-portu, rozciągniętego szeroko na obu brzegach rzeki. Uderzała od pierwszego wejrzenia „roślinna architektura” brunatnych domków z bambusa, mat i liści, wznoszące się w oddali budowle królewskiego pałacu i świątyń zaniedbanych, rozsypujących się „pod prostopadłym żarem słońca, p o t ę ż n y m i o b e z w ł a d n i a j ą c y m, niemal dotykającym, który zdawał się wnikać w głąb ludzkiej piersi, przesączać przez skórę i wypełniać całe ciało” (s. 58; podkr. A. K.). Narrator nie omieszk zaznaczyć, że zrazu statek wydał mu się „wolny od materialnych powiązań z otoczeniem. Brzeg, do którego był przycumowany, mógłby równie dobrze nie istnieć”. Ale niebawem okazało się, że zasadniczym i pełnym rozlicznych komplikacji problemem było: „jak wyprowadzić statek [...] z jego ciałem i duszą, omdlewającą w zatrutych wyziewach tej rzeki – jak wyprowadzić go w morze” (s. 74).

Komplikacją odwracającą tę chwilę był nade wszystko klimat, który dawał znać o sobie „ze skwapliwością niewidzialnego potwora, zacząjonego w powietrzu, w wodzie, w mule rzecznej wybrzeża”. Jego ofiarą śmiertelną był najpierw sternik, a niebawem „predestynowany na ofiarę”, pierwszy oficer, Burns. Statek był przecież już od sześciu tygodni uwięziony na rzece „niby w jakiej zatrutej pułapce” (s. 81).

Pogłębiało koszmar unoszące się nad statkiem widmo zmarłego kapitana. Osobliwym „dotknięciem śmierci” była chwila lokalizacji jego zgonu w tym samym miejscu, gdzie usiadł jego następca, kontemplujący wzniosłość kapitańskiego dziedzictwa. Przekazaniu ponurej informacji towarzyszyły, jakby dla ironii, ostrzeżenia przed złowrogim wpływem przestępczej osobowości poprzednika. Zgorszony tym faktem zdrady dobrych obyczajów dowódcy, narrator od początku zapewne podejrzewał, że zmarły był ofiarą jakiejś tajemniczej choroby, a relacja o życiu niegodnym wielkich tradycji dynastycznych mogła w nim spotęgować nakaz pozostania wiernym własnej idealnej wizji osobowości. I nie

zatknięcie się z tym koszmarem związanym ze śmiercią niegodnego kapitana było najgorsze a jego konsekwencje. Narrator musiał wyruszyć w podróż z chorym, znerwicowanym chiefem, który wpędził się sam w tę chorobę”, z człowiekiem, o którym autor wyrazi się później w przedmowie do *Smugi cienia*, że „stosunki ze zmarłym kapitanem zachwiały poważnie jego jestestwem”.

Obecność pozbawionego równowagi psychicznej, rozżalonego faktem pominięcia go przy awansie, pierwszego oficera skazywała nowego kapitana na natręctwo jego urojeń i wizji nieuchronnej zagłady statku jako rezultatu diabelskich zamysłów „starego”. Burns jest niewątpliwie kreacją intencjonalnie przez autora udziwnioną i przejaskrawioną. Jego wiara w duchy i siły nadprzyrodzone nadaje utworowi po trosze charakter „ghost story”, posłuży też narratorowi do podkreślenia nerwowej na statku atmosfery, wpływającej nań depresyjnie.

W tych warunkach nawet oderwanie się w końcu od „upalnego zaduchu rzeki” i zarzucenie kotwicy „o milę za pływizną” nie wyzwoliło z kosmaru. Toteż teraz właśnie, gdy „ciemność otuliła statek jak tajemniczy opar milczących wód” i nie było wokół „żadnego dźwięku” – narrator po raz pierwszy uległ kosmicznemu złudzeniu: wrażeniu, że jego statek „mógłby być planetą szybującą zawrotnie po wyznaczonej sobie drodze wśród przestworów wiecznego milczenia” (s. 84). A wizja była tak sugestywna, że chwycił się poręczy jakby stracił równowagę. Był to pośredni rezultat zwidów i bredzeń Burnsa, który „trzymał się życia równie słabo jak rozsądku”. Świadomość tego sprawiała, że odczuwał również ciężar samotnej odpowiedzialności.

Zamierający niemal zupełnie wiatr potęgował nerwowe napięcie: wyobraźnię kapitana obezwładnionego statku zaczęły osaczać obrazy bezruchu w „enigmatycznej ciszy uspionych mocy świata”. Ale nad przewrażliwionym poetą panował ciągle zdyscyplinowany marynarz, który „podał pierwszy kurs swego pierwszego dowództwa”. Dostrzegł wtedy w sterowaniu – jakby samopotwierdzenie swej gotowości żeglarsza – „symbol ludzkich usiłowań kierowania własnym losem” (s. 86).

Ten podniosły symbol – razem z końcowym obrazem samotnego sterowania narratora – stanowi jakby mocną ramę okalającą sugestywny, i we fragmentach tak urzekająco poetycki, opis podróży morskiej – wysoką próbę charakteru dowódcy i obdarzonej darem współczującej wyobraźni załogi.

Świadomość samotnej odpowiedzialności sprawi, że protagonistę będą prześladować na zmianę ciemne opary, żar, bezruch i cisza; gdy objął kolejną popołudniową wachtę, gdy „wielka rozpalona cisza otaczała statek, zdając się więzić go w bezruchu i żarze dwóch stopionych w jeden żywioł odcieni błękitu”, musiał przyznać, że „nie spodziewał się tego spętania, tej nieruchomości beznadziejniejszej z każdym upływem dnia” (s. 93). Ale dokonawszy „fachowego obrachunku” swoich szans, nie zawahał się podsumować ich pozytywnie, i nie bez dumy stwierdzić, że „posiadał owo ogólne poczucie, będące udziałem tych tylko, którzy służą umiłowanemu powołaniu” (s. 93).

To nie znaczy, aby nie podważały jego równowagi brednie Burnsa, gotowego uwierzyć, iż „martwy człowiek zdolny jest zdeorganizować meteorologię”, ale skłoniło go to tylko do przypuszczenia, że złośliwość natury spychała statek szybko z oznaczonego kursu (s. 97). Istotnym natomiast wstrząsem psychologicznym było odkrycie braku chininy, odkrycie tragiczne wobec mnożących się wśród załogi wypadków malarii. Nie zawahał się nawet wyznać, że chwilowo postradał rozsądek (s. 98) a jego statek wydał mu się „pływającym grobowcem” (s. 101). Jakby usprawiedliwiając to makabryczne wrażenie, wyjaśnił: „Któż nie słyszał o owych statkach dryfujących bezwolnie, których załoga składa się z samych trupów?” Powtórzy się później raz jeszcze ta wizja statku „z załogą konającą powoli na pokładach” (s. 112).

Coraz silniej zaczną wtedy przenikać do jego świadomości — jak to trafnie dostrzegł i sformułował Ian Watt — „podszepty najskrajniejszej formy bezczynności — śmierci”⁶. Ale był u kresu sił. Spędzając całe niemal noce i dnie na pokładzie, doznawał uczucia, że „na całym świecie nie ma dla mnie snu”. W tym stanie maniakałnej już bezsenności wyznał: „Bywały chwile, kiedy nie lękałem się, że zwariuję, ale podejrzewałem, że już się to stało. Nie śmiałem wówczas otworzyć ust w obawie, że zdradzę się z jakimś obłąkanym skowytom” (s. 110).

Trzeba podkreślić, że osłabił to wyznanie oświadczeniem: „Zresztą, co miałem w sobie z żeglarsza, z oficera na wachcie, zachowywało dostateczną przytomność” (podkr. A. K.). Dodał jeszcze: „Byłem jak szalony stolarz robiący

⁶ I. Watt. *op. cit.*, s. 633.

skrzynię. Chociaż byłby on nie wiedzieć jak przekonany, że jest królem Jeruzolimy, jego skrzynia pozostałaby zwykłą, normalną skrzynią”. Był więc pewny, że nic nie zdoła mu przeszkodzić w żeglowaniu.

3

W tym czasie zaczął robić zapiski. Narrator odnotował: „Wszelkie poczucie czasu zatraciło się w monotonii oczekiwania, nadziei i pragnienia – zawsze tylko tego jednego: żeglować na południe! [...] A kiedy wracam na pokład, witają mnie gwiazdy, ustawione w niezmiennym porządku, nie zasłonięte żadnym obłokiem, nieskończenie nużące”. W tym odczuciu stagnacji, beznadziei rodzi się medytacja, która staje się wartością dramatyczną większej mocy, niż wcześniejsza zamieszczona w rozdziale czwartym *Murzyna z załogi Narcyza*; jedna to z najbardziej znaczących medytacji Conradowskich: „Oto wszystko: gwiazdy, słońce, morze, światło, ciemność, przestrzeń, ogrom wód: wspaniałe dzieło Siedmiu Dni, w które ludzkość wdarła się jakby nieproszona. A może zwabiona? Tak samo jak ja zwabiony zostałem w pułapkę tego okropnego, nawiedzonego śmiercią dowództwa” (s. 107).

Jest to medytacja (z pominięciem końcowego akcentu osobistego) przewyższająca bodaj swym okrutnym sceptycyzmem wszystko, co w sprawie roli, egzystencji człowieka we wszechświecie zostało powiedziane; wyprzedzająca egzystencjalistyczny niepokój, sygnalizująca nieodgadnioną, okrutną zagadkę Kosmosu. Ale nie tylko dla tej medytacji wprowadził Conrad fragmenty dziennika do swego opowiadania osiągnącej prawdziwie triumfalną prostotę i trafność struktury. Sięgnięcie po notatnik i ołówek nie było w istniejących warunkach pokusą egotyzmu, ale ratunkiem od obłędnego nawyku mówienia do siebie wobec niknącej nadziei „wygrzebania się z tego” (s. 116) – gdy pozostało już tylko „blaknące wspomnienie lekkomyślnej młodości po tamtej stronie cienia” (s. 117).

Stanął przed najtrudniejszym zakretem: nie mogąc liczyć ani na pierwszego oficera, Burnsa, ani na drugiego („szczeniaka”), niewiele także na zdziesiątkowaną, choć pełną dobrej woli załogę, narrator nie mógł nie pomyśleć, co by się stało, gdyby i Ransome’a powaliła choroba i ..co stałoby się ze statkiem i z ludźmi, g d y b y m j a s i ę z a ł a-

m a ł ?” (s. 114; podkr. A. K.). Zapisał wtedy w dzienniku: [...] odnoszę wrażenie, iż pokarmem moim wówczas był nieustanny niepokój – rodzaj piekielnej pożywki, podniecającej i wyniszczającej zarazem” (s. 115). Dojmująca świadomość oczekującej go próby zrodziła jednak nie zwątpienie w siebie (dokonał już przecież rozrachunku swych żeglarskich uzdolnień), ale lęk przed niewiadomym.

Dla Freuda, jak wiadomo, strach, obawa i lęk – to nie synonimy. Podczas, gdy obawa wymaga określonego przedmiotu, którego się obawiamy, a strach sygnalizuje stan, w który popadamy, kiedy znajdujemy się w obliczu niebezpieczeństwa, na które nie jesteśmy przygotowani – lęk oznacza pewien stan oczekiwania na niebezpieczeństwo i p r z y g o t o w a n i a s i ę na nie, nawet jeśli jest ono nieznanne.

Narrator w swych zapiskach, a nie w bezpośredniej relacji, wskazuje właśnie na przeżywanie lęku, niepokoju – a nie obawy czy strachu. Odnotowuje te lęki jakby dlatego, żeby się od nich odzębnić, żeby je wyegzorcyzmować, aby nie osłabiały jego stałej przecież gotowości do wytrwania ciężkiej próby, jaką było to dowództwo, nękające bez ustanku wizją nieokreślonych bliżej niebezpieczeństw. W końcu zapisze słowa samooskarżenia: „Moje pierwsze dowództwo! Teraz rozumiem, dlaczego zawsze w przeszłości czułem jakiś dziwny niepokój. Podejrzałem, że może nie nadaję się do tego. I oto jest dowód: Czuję lęk. Nie nadaję się” (s. 117).

4

A więc jedynym „dowodem” nienadawania się miał być przeżywany lęk, świadczący, jak mu się wydało, przeciw niemu, choć był to uzasadniony lęk przed nieznanym a oczekiwanym niebezpieczeństwem, który towarzyszy każdej ambitnej próbie sił. Wyzwolił go dopiero z tego lęku niezawodny w tych ciężkich chwilach sojusznik, jakim okazał się Ransome. Nie zdziwiło go bynajmniej nietypowe i nieoczekiwane ze strony zwierzchnika zapytanie: „Czy uważacie, że powinienem być na pokładzie? – Odpowiedział natychmiast, choć bez szczególnego nacisku: „Tak, panie kapitanie!”, bo tylko takiej odpowiedzi mógł oczekiwać dowódca, który wprawdzie „wzdrygał się, aby wyjść na pokład i stawić temu czoło”, ale który był tego świadom, że jest to jego obowiązkiem.

I tego obowiązku dopełnił, choć „wyjście na pokład kosztowało go więcej niż kiedykolwiek” (s. 118). I nie cofnął się z pokładu, mimo że „groza napierała zewsząd”. A była to groza o jakimś ładunku metafizycznym, tajemniczym: mogła działać paraliżująco na natury wrażliwe, skłonne do stanów depresyjnych: „Nieprzeniknione ciemności otaczały statek tak szczelnie, że wydawało się, iż wystarczy wyciągnąć rękę poza burtę, by dotknąć jakiejś pozaziemskiej substancji. Było w tym coś nieopisanie przerażającego i niewyraźalnie tajemniczego” (s. 118). Ten sugestywny obraz był dziełem poetyckiej wyobraźni, wyolbrzymiającej grozę do granic absurdu: „Jeśli powietrze stało się czarne, morze mogło równie dobrze przemienić się w ciało stałe”.

Igranie paradoksem świadczyło o czujności umysłu, który nie chciał być zaskoczony, a ulegał fascynacji obrazów o futurystycznej śmiałości: „Gdy przyjdzie czas, czerń pochłonie w milczeniu okrucy gwiazdnego blasku nad statkiem i koniec nadciągnie bez jednego westchnienia, bez dreszczu, bez żadnego szeptu. Nasze serca staną wówczas jak zegary o porozkręcanych sprężynach” (s. 119). Rzecz zastanawiająca, ale mogąca zdumiewać tylko natury niepoetyckie; wrażenie ostateczności tej chwili zdawało się wyzwalać z udreki: „Było to dla mnie rodzajem pociechy, jak gdyby dusza moja pogodziła się nagle z wiecznością ośleplej ciszy” (s. 119).

Ale w pocie czuwał marynarz: narrator mógł stwierdzić nie bez dumy: „Jedynie instynkt marynarza o p a r ł s i ę w e m n i e t e m u m o r a l n e m u o b e z w ł a d n i e n i u” (podkr. A. K.). Pojął konieczność działania: po zejściu na pokład śródokręcia wydał rozkaz tym spośród załogi, którzy „jeszcze się do czegoś nadają”, aby spróbowali sprzątnąć grot-żagiel pod jego przywództwem. Bo on jeden stał pośród nich „mocny jak twierdza, nie tknięty przez zarazę”. W refleksji: „trawiony tylko chorobą duszy” tailo się poczucie „własnej niegodności” i winy wobec bohaterstwa tych opadających z sił „potulnych duchów w wyniszczonym gorączką ciele” (wśród których był i Ransome „łowiący oddech z łkaniem”).

To on właśnie był tą siłą niezawodnie krzepiącą. Świadczyło o tym uczucie ulgi, gdy z bezdennej „czarnej sztolni, w której głębi wzrok gubił się bezładnie” wychynał z mroku Ransome „jakby nagle stworzony ze swą opanowaną twarzą” – a potem uczucie zagubienia narratora, gdy Ransome cofnął się o dwa kroki w czerń nocy: Natychmiast ogarnął

mnie niepokój, jak gdybym stracił jedynę oparcie” (podkr. A. K.). To poczucie więzi wyzwalało od samotności, wzmagало wolę działania. Dlatego mimo porażających apokaliptycznych ciemności („tak musiały wyglądać mroki poprzedzające stworzenie świata”) narrator mógł stwierdzić nie bez dumy: „Każdy z nas był na swym stanowisku”.

W tych warunkach nastąpił szczytowy moment dotkliwego nasilenia ciszy i napiętej do ostatnich granic wytrzymałości nerwowej dowódcy: „Czekałem bliski szaleństwa”. Z wrażliwością neurotyka czuł, że coś w przyrodzie, w tej znieruchomiałej ciemności zacznie się dziać za chwilę. Nieregularne odgłosy „jak gdyby stukania w pokład” były zapowiedzią nagłego zdumiewającego zjawiska, gdy „ciemność przemieniła się w wodę” (został tu zastosowany chwyt stylistyczny, który nazwano Conradowską metodą “delayed decoding” – opóźnionego sygnału). Jest to zarazem sygnał odprężenia nerwowego narratora. Wtedy, gdy zgasły zalane wodą lampy kompasowe i zniknął ostatni błysk światła w tym „czarnym świecie” (a więc „czarna noc” trwała) to on chwycił uspokajająco sternika za ramię, zapewniając, że niepotrzebne mu światło, byle tylko czuł wiatr na karku.

Wprawdzie narrator ulegnie nieoczekiwanej atakowi „bezbieżnego”, fantastycznego przerażenia, który był „łękiem dziecka”, ale będzie to reakcja na potknięcie się o schodzącego na czworakach ze schodni pierwszego oficera; a zarazem obnażenie niestabilności psychicznej dowódcy. Czy nie po to jednak, aby podkreślić jego wolę i zdolność opanowania się – mimo wszystko. Bo gdy wśród martwej ciszy, jaka opadła statek, rozległo się „napastliwe, szydercze rżenie” Burnsa, narrator, uspokoiwszy zaniepokojoną załogę, skoczył ku sterowi. Bo on jeden mógł zastąpić – na tym statku „bez załogi” – skamlącego o pomoc sternika. Potem dopiero poczuł uderzenie silnego wiatru.

Nie nastąpiła w tym momencie żadna erupcja zdolności żeglowania, żaden przełom. Po prostu: gdy przerwany został „szaniec przerażającej martwoty”, można już było intensywnie działać: „Musiałem sterować”. Narrator okaże nadludzką wytrzymałość, sterując (mimo nieprzespanych ostatnich czterdziestu godzin), całą noc statkiem. Zostanie tu powtórzony motyw i obraz sterowania starego Singletona w *Murzynie z załogi Narcyza*, przez trzydzieści godzin stojącego wytrwale przy kole sterowym. Klarowną czystością wstrząsającej prostotą wizji trwania z

uwagą na posterunku starego niezłomnego marynarza zastąpiła tu zawziętość ducha protagonisty, jego ciągle niewolne od poczucia winy wobec załogi uniesienie, niepomne na nic, prócz konieczności kierowania statkiem, „pędzącym na złamanie karku i pełnym umierających ludzi”.

Narrator nie powtórzył statycznego obrazu nieugiętego sterowania aż do wyczerpania sił żywotnych: narratora zastąpił na czas posiłku niezawodny sojusznik – czujny, oddany Ransome, a w końcowej fazie przygotowań statku do lądowania – jedyny rekonwalescent, Burns.

5

Narrator nie omieszkiał wcześniej skwitować z ironią ostatniego, wariackiego wystąpienia chiefa: „Dzięki mocy egzorcyzmu, jakim był okropny śmiech pana Burnsa, złośliwe widmo zostało pokonane, zły czar złamany, klątwa zdjeta. Byliśmy teraz w rękach życzliwej i energicznej opatrności. To ona nas niosła”. Nie dostrzeżono jednak w tej wypowiedzi ani ostrego sarkazmu wobec skuteczności egzorcyzmu, zła ani gorzkiej ironii wobec życzliwości i energii utajonej we „wspaniałym dziele Siedmiu Dni, w które ludzkość wdarała się jakby nieproszona”. Jeden to z przykładów niełatwej ironii tragicznej Conrada, nie odczytanej przez krytyków, którzy dopatrzyli się w *Smudze cienia* nadmiernie wyeksponowanej wiary w duchy i upiory i pomawiali autora o „uleganie pokusie akceptacji spraw nadprzyrodzonych”. Conrad w przedmowie z 1920 r. nieśpiesznie replikował: „Świat żyjących, taki jaki jest, zawiera dostatecznie wiele cudów i tajemnic; [...] Nie. Moje poczucie cudowności nazbyt jest mocne, abym mógł ulec pokusie nadprzyrodzonego, będącego jedynie... zniewagą naszej godności”.

Akcent cudowności taił się w fakcie, że walkę z chorobliwymi urojeniami Burnsa, znajdującymi poparcie w szaleństwie żywiołów, wygrał narrator, w niemałej mierze, dzięki „darowi współczującej wyobraźni” załogi i niezawodnemu współdziałaniu swego cichego sojusznika. „I ja, i statek i wszyscy na statku zawdzięczamy wam bardzo dużo, Ransome” – oświadczył mu przed końcem podróży. Później, w ostatnich chwilach, wymagających szczególnej sprawności i szybkości decyzji, w chorym na serce Ransome „ocknął się urodzony żeglarz [...]. Każdy jego wysiłek, każdy ruch był aktem przemyślanego bohaterstwa” (s. 136). „Kimże

byłem, aby podnosić wzrok na człowieka działającego w takim natchnieniu ?” – pytał siebie zjednany i wzruszony narrator.

On i Ransome – to przykład najmniejszej „grupy dwuosobowej” (diady), niedawno naukowo zbadanej przez socjologów, zjednoczonej ideą współdziałania we wspólnym celu zawodowym. Dzięki psychicznej więzi, jaka ich spontanicznie złączyła (świadczył o tym choćby fragment relacji: „Ransome patrzył mi spokojnie w oczy. Uśmiechnęliśmy się do siebie”), więzi bez słów, obaj zdołali przewyciężyć swój lęk: narrator przed niepełnowartościową dowódcą, Ransome – śmiertelny lęk przed wrogiem we własnej piersi. Przez dwadzieścia dni grozy żywiołów sprzymierzą się w działaniu, podejmując zadania ponad zwykłą powinność: bohaterstwu końcowemu Ransome’a dorównuje całonocne sterowanie narratora.

Sądzę, że cały uprzedni wywód – na podstawie dokładnej analizy tekstu – wykazał, że nad przewrażliwionym neurotykiem (jakim był narrator) panował cały czas zdyscyplinowany marynarz, znajdujący w najtrudniejszych chwilach oparcie w Ransomie jako niezawodnym sojuszniku.

Pozwala to chyba zrezygnować w *Smudze cienia* z Jungowskiej analogii, sugerowanej przez Guerarda⁷ – archetypicznej nocnej podróży, pozwalającej jakoby protagoniście ujarzmić ujemne cechy swej osobowości.

Objawiona tak sugestywnie w tym utworze idea współpartnerstwa i wiara w ludzi „godnych nieprzemijającego szacunku” jest jednym z celniejszych dowodów głębokiego humanizmu Conrada.

6

Czas wrócić do pierwszej części opowieści, ukazującej bohatera na „skraju cienia”. Narrator *Smugi cienia* zapewnia: „To jest okres życia, w którym takie chwile mogą się zdarzać. Jakie chwile? Chwile nudy, znużenia, niezadowolonia. Chwile pochopne” (s. 13). Wyjaśnia to bliżej: „Jednego dnia wszystko było świetnie, a następnego wszystko przepadło

⁷ A. G u e r a r d, *Conrad, the Novelist*, Cambridge (Mass), 1958.

– urok, smak, zainteresowanie, satysfakcja – wszystko. Była to jedna z tych chwil – wiecie. Zniechęcenie późnej młodości zstąpiło na mnie i uniosło ze sobą”.

Warto zwrócić na to uwagę, że podobne autobiograficzne wynurzenia wstępne, sygnalizujące moment przełomowy w życiu bohatera, spotkamy w Gombrowiczowskiej *Ferdydurke*. Jej narrator, obdarzony ostrym, jasnowidzącym spojrzeniem późnej młodości (miał dokładnie tyle lat, co narrator *Smugi cienia*) wypowiada na początku filozoficzne refleksje na temat nieuchronnej „granicy cienia”. Nie ma oczywiście żadnych punktów zbieżnych między Conradowskim „wyznaniem” a *Ferdydurke*, gdzie zmagają się dwie miłości, dwa dążenia: dążenie do dojrzałości i dążenie do wiecznie odmładzającej niedojrzałości i zgodnie z określeniem autora książka jest „obrazem walki o własną dojrzałość kogoś zakochanego w swej niedojrzałości”. W *Smudze cienia* obserwujemy bolesne i dumne rozstawanie się z młodością w chwilach wtajemniczenia się i poddawania próbie najwyższej odpowiedzialności. Dlatego narrator stwierdza spokojnie, choć nie bez żalu: „Młodość jest rzeczą piękną, jest wielką siłą – dopóki nie myślimy o niej” (s. 65).

Ale zbliżanie się do momentu przełomu jest w obu wypadkach nagle i nasycone poczuciem nie dającego się przewyciężyć absurdu. U Gombrowicza: „We wtorek obudziłem się [...] każda najdrobniejsza fibra kurczyła się w oczekiwaniu, że nic się nie stanie, nic się nie odmieni, nic nigdy nie nastąpi i cokolwiek by się nie przedsięwzięło, nie pocznie się nic a nic” (s. 5).

U Conrada narrator wyznawszy, że „zstąpiło” na niego i poraziło zniechęcenie późnej młodości, nie taił, że wtedy właśnie na minione miesiące spojrzął „jak na dni zmarnowane prozaicznie i ponuro. Czulem – jakże to wyrazić? – (zastanawiał się, by sformułować to, zawrzeć w sugestywnej metaforze) – że nie da się z nich wycisnąć żadnej prawdy” (s. 17). W *Ferdydurke* bohater stwierdzał z goryczą i niesmakiem: „[...] na przełomie lat nie byłem ani tym, ani owym – byłem niczym – ” (s. 7). Nie omieszkał podkreślić, że niewielu jednak są dane takie ostrzegawcze, alarmujące chwile jasnowidzenia, iż tak łatwo zmarnować życie i pogрузić się w „nieprzyzwoitej drobnostkowości”. Bo przecież jego rówieśnicy nie lenili się: „pozajmowali określone stanowiska, nie tyle wobec życia, ile po rozmaitych urzędach państwowych [...]”.

A więc tylko niektórych, świadomych intuicyjnie swych wyższych możliwości, napadał na granicy cienia ów lęk niemal metafizyczny: „niepokój nieżycia, obawa nierzeczywistości” – lęk przed określonymi stanowiskami, które nie pozwalają wypowiedzieć, wyobrazić siebie, zmierzyć się w ostrej a bodaj i śmiertelnej walce z prawdziwym trudem życia, rozszyfrować jego niemiłosierną zagadkę, a nade wszystko poznać bolesny może i okrutny, wyzwalający przecież z dookólnych zakłamań i fałszów – smak istnienia.

7

Narrator *Smugi cienia* rozpoczął swą relację – czy swoje zwierzenia – w momencie, gdy podjął, nieoczekiwaną dla siebie samego, nagłą decyzję zrzeczenia się bez powodu funkcji pierwszego oficera, pełnionej od dłuższego czasu na parowcu marynarki handlowej. Bez widocznego powodu. Czy nie było jednak jakichś pośrednich impulsów sprawczych, ponagających podjęcie tej decyzji na „granicy cienia”, w jasnowidzącym rzucie oka na zakręt drogi? I czy nie odnajdziemy ich pod osłoną niedomówień i subtelnej ironii autora? Nie próbowano dotąd, o ile wiem, uchylić tej zasłony.

Statek, na którym Konrad Korzeniowski przez półtora roku pełnił funkcję chiefa, był to kołujący wokół wysp archipelagu malajskiego niewielki parowiec Vidar. Narrator napomknął tylko o zmarnowanych prozaicznie i ponuro dniach. Spróbujmy więc rozeznąć się, jak przedstawiały się w istocie, rzekomo przyjazne, stosunki z kolegami pracy na statku. Byli to dwaj mechanicy: jeden mizoginista, drugi chronicznie cierpiący na katar żołądka i kiszki śledziennik, zaopatrujący się troskliwie w lekarstwa. Wśród tych niewesołych i zapewne dość prostackich mechaników, protagonista, przytłoczony prozaizmem monotonnych, krótkotrwałych rejsów dookoła wysp a także prozaizmem zatrudnienia na statku parowym (nie żaglowcu!) mógł się poczuć zagubiony w bezsensie jałowego istnienia. Poprawnie chłodne musiały też być kontakty z kapitanem, który „z nieznacznym uśmiechem”, bez próby protestu przyjął jego nagłą rezygnację; dodał tylko „szczególnym tonem”, że „ma nadzieję, iż znajdę to, czego tak bardzo pragnę szukać” – a słowa te dlatego chyba „sięgnęły głębiej niż sięgnęłoby ostrze

diamentu”, że zostały odczute jako sarkastyczna aluzja do domniemyanych „wyższych” aspiracji pierwszego oficera. Późniejsze (w rozmowie z Gilesem, zasięgającym jego opinii) zapewnienie zwierzchnika, że „zgadzał się z chiefem” – „nawet dobrym marynarzem”, zostało jednak uzupełnione uwagą, że chief, ustępujący tak nagle ze swego stanowiska był „dziwnym człowiekiem”, po trosze „zwarionym”. Te zastrzeżenia, wyczuwane chyba uprzednio, tłumaczyły ubocznie przyczyny opuszczenia statku.

O tym, że przyczyna zejścia ze statku kryła uczucie osamotnienia, i bezsensu jałowego bytowania, świadczył desperacki nastrój, z jakim wchodził do Domu Oficera Marynarki Handlowej, on, marynarz bez statku z własnej woli. Wydało mu się tam „cicho jak w grobowcu”, a rozjątrzyło go z punktu bezczelne potraktowanie go przez kierownika domu, Ochmistrza, jako niewypłacalnego (prawdopodobnie) pensjonariusza. Nie wiodło mu się w tym Domu Oficera: spotkany kapitan Hamilton, zadufane w sobie zero, jawnie i impertynencko zignorował go, a niebawem, w rozmowie z Ochmistrem, (tak głośnej, że mogli ją usłyszeć inni) nazwał go „młodym durniem” i oświadczył szyderczo na jakieś napomknienie, że „nie współzawodniczy się z t a k i m n ę d z n y m p r z y b ł ę d ą” (podkr. A. K.).

Przytoczone *in extenso* dowody wzdurliwej niechęci, z jakimi spotkał się narrator, mają szczególną wymowę, jeśli się zważy, że mógł się z podobnym objawem wrogości zetknąć jako oficer brytyjskiej marynarki handlowej, jedyny na tych szlakach (co on sam stwierdził w swych *Wspomnieniach*) Polak, o trudnym do wymówienia nazwisku, cudzoziemskim akcencie mowy i kulturze bycia różniącej się od przeciętnych postaw kolegów – marynarzy. Fragment to bodaj autobiograficzny i po raz pierwszy w pisarstwie Conrada tak mocno wyeksponowany.

Postacią intencjonalnie kreowaną na sprzymierzeńca narratora, odcinającą się pozytywnie swą dobrodusnością od wrogiej i niechętniej postawy Ochmistrza i Hamiltona, był w Domu Oficera Marynarki Handlowej totumfacki Giles. Że była to postać kreowana, świadczyła oszczędna informacja Conrada, który (a ustalił to dopiero Norman Sherry) zainteresowanemu fabułą *Smugi cienia* W. G. Claire’owi, niedydysiejszemu wydawcy pisma “Singapore Free Press”, wyjaśnił, że Giles nazywał się naprawdę Patterson – „kochany człowiek, gruby,

ponury (!), z reputacją doskonałego znawcy morza Sulu”. Sherry nie omieszkał dorzucić komentarza: „Czy istniał kapitan Giles i czy był wplątany w ową sprawę, tego nie możemy powiedzieć, ale jest on podejrzanie typowym Conradowskim dobroczyńcą”.

Jaką więc rolę obdarzył narrator tego dobroczyńcę? Jest to sprawa dość istotna. Tylko bowiem przy założeniu jego nie kwestionowanej dobrej woli i spontanicznej bezinteresownej życzliwości, mogłoby się wydać słuszne i usprawiedliwione ubolewanie Guerarda, że „drażliwość narratora staje się w końcu drażniąca dla czytelnika”; względnie korygujące tę opinię domniemanie Iana Watta, że autor chciał dać odczuć „drażniącą tępotę oporu narratora” zyskałoby uzasadnienie w fakcie, że nie umiał on schwycić w lot nadarzającej się szczęśliwie i podsuwanej tak życzliwie i bezinteresownie szansy. Czy tak jednak było?

Wydają się przeczyć temu dyskretnie, ale niewolne od subtelnej ironii uwagi o dwuznacznej dyplomacji już nadto „promieniejącego dobroduszością” Gilesa, wedle słów narratora „zanadto wścibskiego moralisty”, który, pragnąc mieć o nim wszystkie dane, sam zadziwiająco kluczył: nie śpieszył się przecież z przekazaniem jakichś konkretnych perspektyw narratorowi w sposób jasny i bezpośredni. Giles – to postać w intencji autora wyraźnie ambiwalentna. Nawet w wyrażeniu pochlebnej o nim opinii („Było [...] mniemaniem powszechnie w porcie przyjętym, że kapitan Giles jest fachowcem równie dobrym, jeśli nie trochę lepszym niż najlepsi”) uważniejszy czytelnik dostrzeże akcent sarkazmu. Uwaga narratora, że Hamilton nazywał „przybłądą” i Gilesa, tłumaczyłaby jego chęć utracenia pustego pyszałka jako potencjalnego kandydata na wakujące stanowisko dowódcy – na rzecz nowicjusza wprawdzie, ale marynarza z prawdziwego zdarzenia, kogoś odpowiadającego lepiej aktualnemu zapotrzebowaniu Kapitanatu Urzędu Żeglarskiego.

Narrator pozwala się nam bowiem domyślać od początku, że wszędobylski Giles działał w porozumieniu z kpt. Ellisem, Naczelnym Inspektorem Portu, który przynaglany przez konsula generalnego poszukiwał pilnie kogoś na stanowisko kapitana, po zmarłym nagle poprzedniku. Oferta była kłopotliwa, bo statek żaglowy przebywał od dłuższego czasu z dala od macierzystego portu, a nie znana następcy załoga straciła kontakt z armatorami. Dyplomatyczne zabiegi Gilesa miały – jak się okazało – na celu storpedowanie zamysłów Ochmistrza

co do Hamiltona, którego i kapitanat sobie nie życzył (nie mogąc go jednak formalnie wykluczyć). Aby dokonać tego dyskretnie, Giles postanowił zaangażować do tych rozgrywek samego narratora, który uchylał się od niejasnych dlań zamysłów oświadczeniem wprost, że to wszystko dlań „za mądre”, nie pojmując, dlaczego to on a nie Giles (jako do tego bardziej uprawniony) miał dopytywać o treść pisma z Kapitanatu Portu. Zrozumiała nieufność wobec tych wybiegów usprawiedliwiała w pełni jego „drażniącą dla czytelnika drażliwość”.

Przecież po zgłoszeniu się narratora w Kapitanacie okazało się ponad wszelką wątpliwość, że chytry Giles przewidział pozytywny wynik swych negocjacji, skoro umowa na nazwisko narratora była już przygotowana. Czy nie dlatego potem ochotę Gilesa towarzyszenia mu do przystani skomentował z akcentem ironicznej nieufności: „jak gdyby spełniał obowiązek, polegający na wyprowadzeniu z granic kolonii niepożądanego osobnika”. W sumie, cały ten istotnie długi wywód o „nieoczekiwanym” uzyskaniu przez narratora dowództwa powinien nas, jak sądzę, przekonać, że nie był to dar bezinteresownej życzliwości Gilesa ani — ze strony Kapitanatu — spontaniczne premiowanie zasług i dobrej opinii marynarza, ale po prostu zbieg okoliczności, rezultat okolicznościowych przetargów. Stąd później uzasadnione po trosze „egocentryczne odczucie”, że: „Jego (Gilesa) przekłety spryt wplątał mnie w ten cały interes” (s. 75). W momencie prostracji ducha (po odkryciu braku chininy) narrator nie powstrzymał się nawet, jak pamiętamy, przed ostrzejszym sformułowaniem, że „zwabiony został w pułpkę tego okropnego, nawiedzonego śmiercią dowództwa”.

Dopiero po przebyciu ciężkich ale hartujących wolę doświadczeń, potrafił dostrzec w nich stronę niewątpliwie pozytywną — okazję do wtajemniczenia w odpowiedzialną rolę dowódcy a zarazem sprawdzenia się, czy potrafi w najtrudniejszych nawet warunkach zachować szacunek i wierność dla wartości idealnych. Dlatego potrafił zrozumieć śmiertelny lęk Ransome’a, aby — a będą to ostatnie słowa *Smugi cienia* — „nie wzbudzić nagle naszego wspólnego wroga, którego zły los kazał mu nosić świadomie w głębi własnej, wiernej piersi” (s. 143).

Osobną, szczególną wymowę ma podsumowanie przez narratora przeżytych doświadczeń w rozmowie z Gilesem, spotkanym po tej „okropnej”, nie dającej pełnej satysfakcji pierwszej próbie sił: „Nie ma

dla mnie odpoczynku, dopóki nie wyprowadzę statku na Ocean Indyjski. A nawet wtedy niewiele go znajdę”. Tym słowom przytaknął z powagą jego interlokutor: „Tak. Do tego się wszystko sprowadza”. I to przyświadczenie odsłoniło narratorowi, jak zapewnia, głębszą stronę natury kapitana Gilesa.

Staje się to w pełni zrozumiałe dopiero wówczas, gdy się dostrzeże w tej krótkiej wymianie zdań związek z wcześniejszą, surową medytacją Conrada na temat człowieka i jego przeznaczenia. Bo to już w *Murzynie z załogi Narcyza* znajdujemy wypowiedź autora ocenioną jako interpretacja naszej mrocznej, ziemskiej pielgrzymki. Warto ją tu przypomnieć: „Ludziom ułaskawionym przez wzgardliwe zmiłowanie nieśmiertelnego morza nadaje ono w swej sprawiedliwości pełny przywilej pożądanego niewczasu. Dzięki najwyższej mądrości jego łaski nie jest im dozwolone rozpamiętywać dowoli cierpki i zawili smak życia. Muszą bez chwili spoczynku uzasadniać swoje istnienie wobec wiecznego miłosierdzia, które nakazuje, by trud był twardy i nieprzerwany [...]”. Brzmi to jak poetycka, niewolna od wzniosłej ironii, wersja biblijnego przykazania: „Trudzić się będziesz w pocie twego czoła...”. W Conradowskim przesłaniu ma to być trud ludzi zdolnych do współdziałania, natchnionych darem współczującej wyobraźni do solidarnych wysiłków i dlatego „godnych nieprzemijającego szacunku”; jak ta załoga, która trwała przy narratorze w miarę swych sił, bez szemrania „podczas owych dwudziestu dni przeżytych, zdawałoby się, na skraju powolnej i bolesnej zagłady”.

Tutaj, w zakończeniu *Smugi cienia*, książki pisanej w trzech ostatnich miesiącach 1916 r., dedykowanej wszystkim, którzy „przekroczyli [...] granicę cienia swej generacji”, autor dawał wyraz swemu przeświadczeniu. przywołującemu na myśl pełne prostoty słowa Stephena Crane’a (z listu do N. Crouse), że najwyższą miarą człowieczeństwa jest życzliwość (human kindness) a pesymizm postawą nieskończenie małą (only a little little way).

Tajemny współnik i *Smuga cienia* przekazują szerokie widzenie spraw ludzkich, inspirując do głębokich refleksji zarówno czytelników, jak i twórców literatury.